

Berlińskie zoo

Berlin. Przewodnik po duszy miasta,
Dorota Danielewicz
WAB, Warszawa 2013,
ss. 279.

Dorota Danielewicz stworzyła opowieść, w której losy pojedynczego człowieka wpłątane są w politykę Europy Środkowo-Wschodniej drugiej połowy XX w. – politykę, która podzieliła miasto, i tym samym życie jego mieszkańców, na dwie pęknięte połowy, czego symbolem stał się mur berliński. Zamiast teoretycznych rozważań, autorka proponuje jednak subiektywną i autobiograficzną interpretację wydarzeń, udowadniając, że prywatne jest polityczne i odwrotnie. Literatura, będąca swoistym laboratorium, w którym nieustannie dokonuje się obróbka rzeczywistości i przeszłości, pełni w tym wszystkim rolę pośrednika – pozwala spojrzeć na miasto jako przestrzeń polityczną, jednak z perspektywy skrajnie prywatnej, pokazując, że granice tego, co uznajemy za polityczne, są bardzo płynne.

NIBY-PRZEWODNIK

„PORA OPOWIEDZIEĆ BAJKĘ. BAJKĘ O MIEŚCIE PRZEKŁĘTYM, w którym niegdyś tyle zła się działo, że pękło na pół, jak porcelanowy talerz zrzucony w kłótni na kuchenną podłogę. Pora opowiedzieć bajkę o mieście przyjaznym, gdzie ludzie żyją w radości i spełnieniu, dobrze i godnie, a ślad na pękniętym talerzu znika pod pędzlem artysty obieżyświata, który przybył tu z daleka”¹ – takim preludium D. Danielewicz otwiera swoją opowieść o mieście, w które (przez zawiloci środkowoeuropejskiej historii) została jako nastoletnia dziewczyna wrzucona i gdzie żyje już od ponad trzydziestu lat. Anonsowana na wstępie „bajka” zmusza do zastanowienia się nad gatunkiem, za pomocą którego najlepiej da-

¹ Wszystkie cytaty pochodzą z wydania: D. Danielewicz, *Berlin. Przewodnik po duszy miasta*, Warszawa 2013.

łoby się określić utwór autorki. Jako wykształcona literaturoznawczyni, D. Danielewicz ma świadomość genologicznych konwencji i zdaje się, że tytułowy „przewodnik” jest raczej oczkiem puszczone w stronę czytelnika, grą z utartą nomenklaturą – dlatego nie powinno dziwić dopowiedzenie „po duszy miasta”, które rozsadza formułę klasycznych bedekerów. Może więc erudycyjny esej, wyimki z pamiętnika, zbiór szkiców, notatki, a można po prostu nieokreślona hybryda? Zdaje się, że najtrafniej zdiagnozowała Berlin... Olga Tokarczuk, pisząc że „to wspaniała, napisana z czułością gawęda”². Gatunek ten cechuje się m.in. luźnym stylem, otwartą kompozycją, swobodą w prowadzeniu narracji, dużym subiektywizmem, licznymi dygresjami i powtarzalnością pewnych motywów. Wszystkie te elementy znajdziemy w książce D. Danielewicz, ponieważ prowadzona w niej narracja przypomina bieg naszej pamięci – raczej asocjacyjny i przerywany, niż ściśle linearny. Dlatego też zamiast spójnej całości, otrzymujemy flashbackowe obrazy, niczym kadry (niezrealizowanego) filmu rozgrywającego się w głowie polskiej emigrantki.

Zresztą, stworzenie jakiegokolwiek całości wydaje się w przypadku Berlina rzeczą karkołomną i nierealistyczną, ponieważ to patchworkowe miasto jest konglomeratem różnorodności i uosobieniem polityki multikulti. Danielewicz słusznie porównuje je do wielkiego tortu, które trzeba „rozkroić”, by dobrać się do jego wnętrza:

„Pewnego dnia ktoś postanawia je poznać i opisać. I postępuje jak z tortem – bierze do ręki nóż i odkrawa kawałek, odsłaniając warstwy ciasta, kremu i owoców. „Ciasto” podaje jakiś czas później, w tekstach o miejscach i ich mieszkańcach, a czytelnik, oblizując palce, ma okazję spróbować jednego ze smaków miasta” (s. 196).

Metafora krojenia jest trafna w stosunku do Berlina z jeszcze jednego powodu – ponieważ to nie tylko miasto wielowarstwowe, lecz przekrojone (kiedyś) na pół i (dziś) z powrotem zrosnięte. Jak po każdej ciętej ranie – blizna pozostała. I zdaje się, że to główny temat *Przewodnika po duszy miasta*, mianowicie życie w mieście poranionym, przeorany wręcz, przez XX-wieczną historię, naznaczonym piętnem podziału. Dlatego też jednym z wiodących obrazów-metafor (którymi autorka *notabene* posługuje się często, dodając swojemu przewodnikowi walorów literackich) jest „pęknięty i sklejonny talerz”, który mimo

² Recenzja na stronie wydawnictwa WAB: <http://www.wab.com.pl/?ECProduct=1502>, 26.12.2013 r.

swojej funkcjonalności nigdy nie będzie bez skazy. Tak samo Berlin – mimo zjednoczenia w 1989 r., już na zawsze będzie nosił w sobie znamię nieusuwalnej granicy. Celem D. Danilewicz nie była jednak historyczna rekonstrukcja, lecz raczej subiektywna kronika życia z(a) murem – kryje się za nią poszukiwanie odpowiedzi na zadawane sobie wtedy pytania, „kiedy jeszcze między moją odpowiedzią a pytaniem stał berliński mur” (s. 127). Zamiast bezosobowych faktów historycznych (też obecnych, choć jakby zawsze na drugim planie) czytamy o berlińskich miłościach pisarki, dorywczych pracach, kolejnych zmianach adresu, banalnych i heroicznym biografiami napotkanych na jej drodze berlińczyków, świecie ówczesnych kawiarni i kultowych miejsc – a wszystkie te (nad)zwyczajne historie rozgrywają się w cieniu muru, który „istniał nawet w snach”.

Oprócz historyzującej, wspomnieniowej warstwy *Przewodnika...* autorka paralelnie snuje opowieść o Berlinie współczesnym – znajdującym się „w czasach dyskusji na temat swojego i obcego, integracji i tak zwanej kultury wiodącej, czyli *Leitkultur*” (s. 268). Zaskakujące, jak współczesność zająbia się u D. Danilewicz z przeszłością, tworząc gęstą, niemal palimpsestową, sieć odnośników i aluzji. Współczesne miejsca, nazwy i wydarzenia wyzwalają na każdym kroku wspomnienie życia za murem.

POZNAŃSKA EMIGRANTKA...

NIE CZĘSTO POJAWIAJĄ SIĘ NA POLSKIM RYNKU KSIĄŻKI O BERLINIE, choć Polacy stanowią drugą, po tureckiej, mniejszość narodową w stolicy Niemiec. Istnieje oczywiście literatura piękna (np. *Anioł i świnię. W Berlinie!!* Brygidy Helbig czy *Czas przeprowadzki* Krzysztofa Niewrzędy), zbiory anegdot polskich mieszkańców miasta (*Polscy nieudacznicy*) czy utwory popularno-naukowe (np. *Berlin. Filmowy obraz miasta* M. Saryusz-Wolskiej). Najbliżej przewodnikowi D. Danilewicz do *Dziennika berlińskiego* autorstwa Kazimierza Brakonieckiego, który w 2011 r. również nakreślił obraz miasta podzielonego i na nowo połączanego, uwikłanego w trudną historię, włączając w to wszystko wątki autobiograficzne³ – między utworami istnieje wiele podobieństw, choć zasadniczą różnicą jest perspektywa, ponieważ D. Danilewicz pisze niejako ze środka, mieszkając w Berlinie od ponad trzech dekad i utożsamiając się z nim, K. Brakoniecki uosabia mimo wszystko typ (literackiego) turysty.

³K. Brakoniecki, *Dziennik berliński*, Szczecin Bezzecze 2011.

Publikacja D. Danielewicz wyróżnia się więc na tle polskiej „literatury berlińskiej” (jeśli można w ogóle mówić o takim terminie) – głównie za sprawą osobistego wymiaru narracji i silnych wątków autobiograficznych (stroniących skądinąd od intymistyki). W związku z tym można by ją odczytać jako rodzaj indywidualnego przepracowania emigranckiego losu, co wyjaśniałoby ko-egzystencję dwóch głównych bohaterek – dorastającej Doroty (wtedy jeszcze poznanianki, wrzuconej w berlińską dżunglę) i dorosłej Doroty (już berlinianki, wrosniętej w berlińską naturę). Tytułowy przewodnik po duszy miasta staje się więc niepostrzeżenie przewodnikiem po duszy dorastającej emigrantki, a jego narrację można potraktować jako nieustanny dialog między jedną i drugą Dorotą, dokonujący się, wbrew linearności czasu, w obu kierunkach: „Jakże się bałam tego miasta, języka i obcych mi przecież Niemców. Najbardziej bałam się jednak tej Doroty, którą miałam się stać, mieszkając tutaj. Z przyszłości spoglądała na mnie kobieta nieznaną, z ogromnym bagażem nieprzewidywalnych doświadczeń determinowanych energią obcego miasta. Jakże wydawała mi się wówczas obca!” (s. 37).

W wygłosie powieści autorka wyznaje z kolei: „Zdarza się, że mam odwiedziny i na krześle obok mnie siada szesnastoletnia dziewczyna z Poznania. Spogląda na mnie pytającymi oczyma, a ja zapewniam ją, że wszystko jest w jak najlepszym porządku” (s. 275). Spotkanie, któremu towarzyszy „błogie uczucie spokoju i pewności”, kończy się swoistym happy endem i pokazuje, że dorosła Dorota pogodziła się z przymusową emigracją, co zresztą potwierdza jej bogaty życiorys, w którym potrafiła przekuć niechciany los w twórcze życie. Urodzona w 1964 roku autorka jest animatorką polskiej literatury w Berlinie, prowadząc spotkania z pisarzami i pisarkami, publikując liczne szkice i eseje o polskiej literaturze, prowadząc audycje radiowe, jest także współautorką tomu wspomnień Polaków mieszkających w Berlinie z dwustu lat historii tego miasta⁴. To jednak pokłosie wielu lat „zżywania się” z berlińską rzeczywistością.

Początki nie były łatwe, ponieważ szesnastoletniej dziewczynie „Berlin był tak naprawdę zupełnie nie po drodze” (s. 21). To w Poznaniu pozostawiła swoje prawdziwe życie – pierwszą miłość, szkołę, przyjaciół, język. Decyzja rodziców wydawała się jej wtedy zupełnie niezrozumiała: „Zamienić park Sołacki na Tiergarten? Po co? Niedzielne

⁴ D. Danielewicz-Kerski, M. Górny (red.), *Berlin. Polnische Perspektiven. 19.-21. Jahrhundert*, Berlin 2008.

wycieczki do Puszczy Zielonki na krążenie po niewielkim lesie Grünewald? Absurd! Wylądowanie w mieście, w którym się nie ma planów, jest jak wrzucenie w kosmiczny chaos – nie wiadomo, od czego zacząć porządku” (s. 22). Okres ten Danielewicz nazywa później „stanem bycia nigdzie” (s. 22), a siebie z tamtego okresu dziewczyną z „przestraszoną duszą emigrantki z przymusu” (s. 180), która prowadzi „podziemne życie”, ukrywając się przed prawdziwymi berlińczykami lub chodzi po miejskich cmentarzach, by nabrać dystansu do nowej rzeczywistości, „przypominając sobie przy grobach braci Grimm, że życie jest przecież tylko bajką, którą sami sobie codziennie opowiadamy. I że zawsze można zmienić tok narracji, dopowiadając sobie szczęśliwe bajki zakończenie” (s. 180). Tak też po latach się stało, jednak Berlin był dla poznańskiej nastolatki miejscem zesłania, a początkowy pobyt w obozie dla przesiedleńców i uchodźców na Marienfelder Allee stał się dla niej traumatycznym doświadczeniem – podobnie jak dla niemieckiej pisarki Julii Franck, która uczyniła je tematem swoich bestsellerowych powieści⁵. Zarówno D. Danielewicz, jak i J. Franck kierowały podobne pobudki: „Wystawy w tym miejscu pamięci nie opowiadają jednak o nas, przesiedleńcach z Polski, przemilczają historię moją, Basi i Marianny. Może dlatego postanowiłam ją opowiedzieć sama” (s. 51). Autorka po raz kolejny występuje przeciwko schematom przedstawiania historii bezosobowej, bez ludzkiej twarzy.

Równie indywidualne są także trasy, po których prowadzi czytelnika D. Danielewicz – szybko można odnieść wrażenie, że nie bieżą one linearnie, lecz radialnie. W środku zawsze znajduje się plac św. Marka, na który wychodzą okna mieszkania pisarki, a od niego, kłączowatymi odnogami, odchodzą ścieżki jej spacerów, wycieczek rowerowych, przechadzek po Berlinie. Wszystkie ewokują opowiadanie kolejnych, często zdominowanych przez niesamowite przypadki i zrządzenia losu, historii, bo to „miejsc[a] z pamięcią przeszłości”. Dla polskiego czytelnika najciekawsze wydają się wątki poświęcone polskiemu Berlinowi (które wydadzą się znajome wszystkim, którzy odwiedzili w 2009 roku wystawę „My, Berlińczycy! – Wie, Berliner! Historia polsko-niemieckiego sąsiedztwa”⁶) – choć może bardziej jego przygasłemu (i zapomnianemu) dziś blaskowi. „Tam gdzie Radziwiłowie, zaprzyjaźnieni i skoligaceni z rodziną królów pruskich, prowadzili jeszcze w XIX wieku nadający ton miastu salon, w którym na fortepianie grywał Chopin,

⁵J. Franck, *Lagerfeuer*, Köln 2013.

⁶Więcej informacji o wystawie można znaleźć na stronie internetowej: <http://www.wirberliner.de/>, 26.12.2013 r.

mieści się lokal o banalnej nazwie Kaczka po Pekinie” (s. 165), pisze nie bez ironii autorka. Opowiada też między innymi historię lukratywnej działki Raczyńskich w sercu Berlina, na której stoi dziś... niemiecki Reichstag; historię niedoszłego mezaliansu między Elizą Radziwiłówną a późniejszym cesarzem pruskim Wilhelmem I (który z pewnością zmieniłby bieg historii europejskiej, a może nawet światowej). D. Danielewicz zabiera nas także na obrzeża historii typowo berlińskiej – pokazując zaskakujące dzieje pohitlerowskiego bunkra zamienionego w galerię sztuki, wspominając alarmy smogowe czy historię widmowych dworców kolejowych w Zachodnim Berlinie.

Poza wątkami historycznymi, ciekawie prezentują się w książce tematy dotyczące tzw. życia literackiego – na podstawie swoich bogatych doświadczeń D. Danielewicz zarysowuje subiektywną mapę polskiej literatury obecnej w Berlinie na przestrzeni kilku dekad, od stypendialnego pobytu Witolda Gombrowicza w osławionym Literarisches Colloquium nad jeziorem Wannsee, aż po tamtejsze spotkania ze współczesnymi pisarzami z Polski, które regularnie moderuje. Autorka barwnie opowiada także o swoich własnych spotkaniach z Imre Kerteszem, Rolfem Hochhutem czy Czesławem Miłoszem – mają one co prawda posmak zakulisowych plotek, ale ich anegdotyczność w połączeniu z humorem i autoironią autorki sprawiają, że czyta się z nieukrywaną przyjemnością.

... W BERLIŃSKIM ZOO

GAWĘDA D. DANIELEWICZ OPIERA SIĘ NA CIEKAWYM POMYŚLE retorycznym i kompozycyjnym – autorka zdecydowała się czytać Berlin przez perspektywę ogrodu zoologicznego, który funkcjonuje w jej utworze zarówno jako kategoria topograficzna (znany berliński dworzec Zoologischer Garten), jak i wyobrażona: „Berlin Zachodni, miasto ludzi i zwierząt, otoczony murem ogród zoologiczny” (s. 54). Operacyjna metafora zoo jest stale obecna w *Przewodniku* – doskonale spełniając swoją rolę, ponieważ implikuje między innymi egzotykę, życie za kratami, zamknięcie, wystawienie na widok publiczny, ciągłą obserwację, a więc wszystko to, z czym kojarzył się Berlin nastoletniej emigrantce. Obraz zoo pojawił się w jej głowie już na samym początku, a z czasem przysporzył wątpliwości, jak wspomina: „Wjeżdżając do Berlina Zachodniego, wysiadało się przy ogrodzie zoologicznym. Tylko która strona miasta była klatką? Ta otoczona murem, ale z przestrzenią wolności, czy ta bez muru, za to z dyktaturą?” (s. 25). Ogród zoologiczny można potraktować jako miniaturę, w której odbija się historia Berlina

i Europy – najpierw, w XIX-wieku, berlińskie zoo było sceną kolonialnych pokazów egzotycznych Afrykańczyków, później, w czasie wojny, stało się schronieniem dla prześladowanych Żydów, a ostatecznie ofiarą wojennych bombardowań (z 3715 zwierząt naloty przeżyło tylko 91). Natomiast całkiem niedawno, oczy Europy zwróciły się w stronę berlińskiego zoo z powodu białego misia o imieniu Knut, którego historia złapała za serce większość berlińczyków.

Doświadczenie ogrodu zoologicznego jest wpisane także w prywatny horyzont emigranckiego doświadczenia D. Danielewicz, nie tylko z powodu randek, na które umawiała się właśnie tam, lecz przez specyficzną sytuację wrzucenia w groźny, niezrozumiały świat, tak inny od jej „naturalnego” podłoża, w którym wyrosła – „I ja stałam się mimo woli na jakiś czas zwierzęciem w dżungli Berlina” (s. 22), konstatuje po latach. D. Danielewicz nie ukrywa, że jej stosunek do Berlina był kłopotliwy i ufundował się na uczuciach wyobcowania, izolacji i niesprawiedliwego zrządzenia losu – jak celnie jednak zauważa, „z miastem jest tak samo jak z przyjacielem, z którym trzeba zjeść beczkę soli, aby tak naprawdę go poznać i polubić” (s. 129). Do „jej miasta” (jak często sama je określa) dochodziła długą drogą, czego świadectwem wydany właśnie przewodnik.

„Jej miasto” to Berlin utkany nie tylko z autentycznych wspomnień autorki, ale też przetworzony w wyobraźni, zmieszany z doświadczeniami lekturowymi i kadrami filmowymi Kieślowskiego, Alena, a czasami wprost wyjęty z *Nieba nad Berlinem* Wima Wendersa. Berlin opowiedziany z perspektywy rzeczy, przedmiotów, muzyki i zapachów, bo przecież „Wschód pachniał inaczej niż Zachód” (s. 120). Berlin pachnący równocześnie tureckim dönerem i polskim barszczem z uszkami. Berlin nienachalny – jakby na marginesie odsłaniający żyłki swojej skomplikowanej historii. Berlin nie-niewinny, bo skrywający też historię kolonializmu i zbrodni. Epitety można by mnożyć, bo to książka wielowarstwowa.

Rytm przewodnika jest nieśpieszny, jego forma zaś dopracowana skrupulatnie i solidnie – nie ma w niej co prawda wartkiej akcji, bo to w końcu nie powieść przygodowa, ale nie ma też szablonowości przewodnika, bo to nie klasyczny bedeker. Formalna niejednoznaczność stała się walorem tej książki. Zamyśl D. Danielewicz polegał, jak pisze w pewnym momencie, na „rysowaniu skomplikowanej mapy duszy Berlina, mojego karkołomnego hobby, z góry skazanego na krytykę poważnych historyków i naukowców” (s. 153). Po zwrocie narratywnym spod znaku Haydena White’a, karierze historii mówionej,

dobie subiektywizmu ponad wszelką miarę (także w nauce), obawy D. Danielewicz wydają się niezasadne. Najlepszym tego potwierdzeniem głosy czytelników – szczególnie berlińskich expatriatów polskiego pochodzenia – którzy odnajdują kawałek swojej historii w gawędzie D. Danielewicz. A to chyba największy sprawdzian dla tego typu literatury.

Autorka kilkakrotnie zastanawia się, czy i kiedy Woody Allen przyjedzie w końcu do Berlina i o czym byłby to film. Bardzo możliwe, że miejscami przypominałby właśnie *Przewodnik po duszy miasta* D. Danielewicz.

NOTA O AUTORCE

Katarzyna Kończal [koczal.kasia@gmail.com] – polonistka i germanistka, doktorantka w Zakładzie Antropologii Literatury Wydziału Filologii Polskiej i Klasycznej UAM w Poznaniu. Przygotowuje pracę doktorską poświęconą twórczości W. G. Sebald. Naukowo zajmuje się powojenną literaturą polską i niemieckojęzyczną, szczególnie: doświadczeniem Zagłady, pamięcią indywidualną i zbiorową, przemianami tożsamości żydowskiej, pisarstwem eseistycznym oraz związkami literatury i fotografii.